

# SPRAWA

## DWUTYGODNIK POLSKIEGO INSTYTUTU: "MIECZ DUCHA"

ADRES REDAKCJI: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1

Telefon: MAY 2928

Rok III No. 3

NIEDZIELA 20 LUTEGO 1944

Cena 9d.

JAN REMBIELIŃSKI

## DEMOKRATYZACJA GRZECHU

Z PROCESEM DEMOKRATYZACJI wiąże się pewne zjawisko, nie dostrzeżone przez jej pionierów i entuzjastów, a które łatwo może, w świetle dalszych dziejów, okazać się jej skutkiem najdonioślejszym. Już teraz bowiem, na tle dzisiejszych zdarzeń, wyraźnie widać, jak groźna są jego konsekwencje, i jak złowrogi wpływ może ono wyrzucić na stan moralny świata w przyszłości.

W epoce *ancien régime*'u monarcha władał "z Bożej łaski," a więc z reguły, w imię dziedzicznych swych uprawnień. Warstwy rządzące, mniej lub bardziej liczne, też opierały się na dziedzictwie lub przywileju. Nawet gdy wyjątkowo, w chwilach wojen domowych, władza faktycznie przechodziła w ręce ludu, zasada, z której ją wywodzono, pozostawała w dalszym ciągu niewzruszona: spośród dwu pretendentów, masę popierały nie tego, który pociągał je swoim programem, lecz tego, który, w ich przekonaniu, zdołał powołać się na lepszy tytuł prawny. Nie wyznaczając zaś i nie tworząc rządu, jego polityką nie obciążały sumień własnych, przeciwnie, przeświadczone były, że za jej stronę moralną on sam poniesie całą winę, czy zasługę. Swój obowiązek pojmowały prosto: jako wierność dla prawowitej władzy, wierność niezłomną, w szczęściu czy w niedolach, i wypełnianie jej nakazów uprawniających.

Dziś jest inaczej. Dziś — w demokracjach czy w dyktaturach — masę wciąż poucza się, że rząd powstał z ich przyzwolenia, że działa tylko tak długo, póki stanowi wyraz *ich* dążeń, *ich* ideałów. Jakkolwiek też przeto byłby stan rzeczywisty, "człowiek z ulicy" musi być przekonany subiektywnie, że wszystko w wielkiej polityce odbywa się z jego woli i na jego moralną odpowiedzialność. Wszak dowiaduje się wciąż — i od swoich i od obcych — iż jeżeli rzecz przedstawiałaby się inaczej, byłoby obowiązkiem jego stanąć do walki o swe zdanie, — w formie legalnej, nawet rewolucyjnej (w dyktaturach). Jeśli tego nie czyni więc, musi sam w siebie mówić, że to, co dzieje się, jest słuszne i sprawiedliwe, musi wszystkiemu, w sumieniu własnym, dać swą wewnętrzną, moralną aprobatę.

Doniosłość zjawiska tego staje się tym większa, iż równoległe występuje drugie, a mianowicie, że o przebiegu zdarzeń masę dziś wiedzą o wiele więcej i lepiej. Nie znaczy to, rzecz jasna, że sztuka wprowadzania w błąd opinii zanikła, albo straciła swych adeptów. Naodwrot, słuszność nakazuje przyznać, iż jest dziś w większym, niż kiedykolwiek, rozkwicie. Są jednak pewne cechy, związane z samą naturą współczesnej propagandy i prasy, które sprawiają, że, pomimo wszystko, znacznie dziś trudniej ukryć prawdę, niż niegdyś.

Przede wszystkim więc działa tutaj *ilość* informacji, jakie człowiek współczesny otrzymuje. Dawniej, gdy o przyczynach wojny, o sojusznicych obywateli lud dowiadywał się z jednej mowy czy proklamacji, nie trudno było wystylizować to oredzie, zgodnie z planami dyplomatycznych kancelaryj. Dziś, gdy przeciętny obywatel odczytuje codziennie stronicę całe prasy porannej i wieczornej, kiedy co kilka godzin ma sposobność wysłuchać nowin i komentarzy radiowych, nie sposób sprawić wprost, by *wszystkie* te wiadomości były poddane odpowiedniej preparacji. Wśród takiej powodzi wieści, musi przecie trochę prawdy, choćby ją nawet najstaranniej ukrywano.

A dalej, zwyczaj informowania codziennie, a nawet z godziny na godzinę, także poważnie przyczynia się do tego, iż rzeczywistość trudniej jest sfalszować. Gdy wiadomości ogłaszano co czas pewien, można je było dobrać do potrzeb chwili, i można było, przy ich dozowaniu, wziąć pod uwagę dalszy rozwój zdarzeń. Dziś, przy systemie natychmiastowej publikacji, dostosowanie nie zawsze jest możliwe. Nie zawsze przewidzieć da się, że np. system polityczny, do którego odnoszono się ze wstrętem, nagle wypadnie uznać za czynnik twórczy w świecie i towarzysza w budowie lepszych czasów. (Bardzo zabawny przykład stanowi w tym

względnie Hitler, nieubлагanie atakujący komunizm, a później oświadczający — po pakcie Ribbentrop-Mołotow — że Trzecia Rzesza, sprzymierzona z Rosją Sowiecką, "wspólnie wzięły na siebie ciężar stworzenia i obrony nowego ładu w Środkowo-Wschodniej Europie.") Nie zawsze wie się z góry, co z faktów dziś stwierdzanych, wygodniej będzie zacierać kiedyś w pamięci...

Tak więc stanęliśmy — w chwili obecnej — w obliczu sytuacji paradoksalnej. Z jednej strony, ewolucja ku polityce "wielkich obszarów" zmniejsza wciąż liczbę ośrodków decyzji w świecie, a wewnątrz wielkich całosci redukuje wpływ i rolę przeciętnego "człowieka z ulicy," który staje się pyłkiem znikomym, niezłolnym zaważać na sprawach, rozgry-

wających się w skali kontynentów. Co więcej, wojna totalna, z jej koniecznościami jednolitego dowództwa i planowania, ustokrotniła jeszcze siłę tej tendencji ku koncentracji w jednym ręku władzy. Nigdy też chyba w dziejach potęga tak absolutna i decyzje, obejmujące świat cały, nie skupiły się w dłoniach — faktycznie i formalnie — takiej niewielkiej liczby ludzi.

Z drugiej zaś strony, równoległe całkiem, uwidacznia się zjawisko drugie: masy, posłuszne władzy, odczuwają dziś subiektywnie, że nie tylko uznają jej prawo do rządzenia, ale że, merytorycznie, uznają jej *działania*, przyjmują je na swą odpowiedzialność i sumienie. Mnogość zaś informacji, które "szaremu człowiekowi" na tematy polityczne są

dostarczane, sprawia, iż — mimo wszelkich wysiłków propagandy — wie on naogół dobrze, z czym się zgadza.

I tu dopiero, w świetle tego zestawienia, okazuje się jak straszliwa, potworna odpowiedzialność spada w tej chwili na sumienia tych nielicznych, co w ręce swe ujęli losy narodów. Dawniej, gdy państwo miało politykę nieuczciwą, gdy postępowało wiarołomnie i zdradziecko, świadomość tego faktu nie przekraczała najczęściej wąskiego kręgu polityków i dyplomatów. Gdy w stuleciu XVIII np. dokonano rozbioru Polski, grzech ten nie ztracił śmiertelnie dusz mas szerokich w Europie, gdyż masy te, w wielkiej mierze, nie wiedziały, co się dzieje, ani nie czuły własnego w tym akcie udziału. W jednej z powieści Mereżkowskiego, car Piotr

Wielki wznosi modły, iż chce sam cierpieć karę za swoją zbrodnię, lecz błaga Boga, by ocalał lud rosyjski, który z tym grzechem nic przeciw nie miał wspólnego...

Dziś to skończyło się. Dziś każdy akt zdrady, krzywdy, grabieży, popełniony przez rządzących, ztraćuje i nieprawd dusze mas najszerzych w narodach przez nich rządzonych. Dziś wszystko jest jawne i wiadome — i każdy naród, przyjmując politykę swych przywódców, musi również sam, cały, przejść na cynizm "racji stanu," z którego ta polityka jest zrodzona.

A strach pomyśleć, co się stanie z ludzkością, jeżeli rzesze milionowe "szarych ludzi" przejdą w sumieniach swoich na moralność i na wiarę — Cezarów Borgiów, Fryderyków, Metternichów...

J. A. Ż.

## NOWOGRÓDEK I ZIEMIA NOWOGRÓDZKA

NA PÓŁNOC OD POLESIA, PO OBU STRONACH tej samej kolei, idącej dalej do Wilna, leży ta ziemia, tak przesiąknięta tradycją i otoczona

jej okolicie, wraz z resztą księstw litewskich znalazł się w ciągłej walce z ową groźną potęgą zakonu Krzyżaków, czyli Niemców, usadowioną

i obyczajową, nie tylko nowogródzkiego, ale całej Litwy.

Każdy, kto zwiedzał Farę nowogródzką mógł w niej oglądać pomnik Jana Rudominy, kasztelana nowogródzkiego, wzniesiony dla poległych towarzyszy broni w bitwie pod Chocimem w 1621 r. Rudomina klęczy pod wizerunkiem N.P. Marii Różańcowej, a obok niego dziewięciu innych towarzyszy, bez głów, na znak, że Turcy je pocalali. Wreszcie ziemię tę wslawił Tadeusz Reytan, poseł, który tak uroczyście i dramatycznie protestował na sejmie warszawskim przeciwko pierwszemu rozbirowi Polski w 1772 r. Nie długo przeżył on tę ciężką próbę i został pochowany w Lachowiczach w 1780 r. Wśród nieszczęść krajowych tyle rzeczy poszło w niepamięć, że prócz tego, iż umarł na melancholię mało po nim pozostało pamiętek. Matejko, nasz wielki malarz scen historycznych, zwykle bardzo umiejętnie dobierał typy i podobieństwa swoich postaci. A jednak w obrazie przedstawiającym Reytanę leżącego u drzwi sali sejmowej, aby do niej nie wpuścić gwałcących prawo obcych żołnierzy, wymalował mężczyznę o ciemnych włosach i wąsie i o trochę dzikim wejrzeniu. Matejko zapewne nie wiedział, bo w drugiej połowie XIX w. podróże nie były zawsze łatwe, że w jednym z dworów nad Serweczą znajdowały się dwa pokoje, nieduże, ciemne i dosyć brzydkie, zawieszane portretami. Ponieważ i dwór i one już nie istnieją, przecieram oczy, jak po śnie, gdy o nich wspominam. Była to spuścizna Niesiołowskich z Woroczy. Wisiły tam panie pendzla Bacciarellego i Glaziego w lokach, wyciętych krótkich staniczkach przybranych blondą, wisiął szef Niesiołowski w mundurze swego pułku z czasów Napoleońskich ze srebrnymi epoletami, a w kącie Tadeusz Reytan w granatowym żupanie i kontusz, o twardy podłużny z cienkimi pływymi włosami, opuszczonymi na dół. Z portretu sądząc, ten człowiek sławny z gwałtownego protestu, wyglądał na sensata i flegmatyka o błękitnym wejrzeniu, zamyślnym melancholij.

W poemacie Mickiewicza tenże Tadeusz Reytan wspomniany jest często, jako wielki myślny, a jeden z ustępów dotyczących jego opinii towieckiej brzmi:

*Coby na to powiedział Reytan, gdyby ożył? Wrócił by do Lachowicz i w grób się położył.*

Jednak nie o strzał do niedźwiedzia dbał nade wszystko w życiu i cóżby innego miał do powiedzenia teraz, jak na owym pamiętnym sejmie!

Tę całą tradycję oświetlił i przewyższył syn niezamożnego adwokata, urodzony w Zaosiu, chowany w dzieciństwie w Nowogródku — Adam Mickiewicz. Tak się już stało, że nie ma drogi, lasu, karczmy, dworu w okolicy Nowogródka nad którym by się jak tęcza, nie unosiła jego poezja:

*Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie*

*Do Płuzyn ciemnego boru Wjechałszy, pomnij zatrzymać swe konie By się przypatrzeć jezioru.*

I tak, jak każdy Anglik czytający Macbetha wie, czym jest zamek w Dunsinane, tak każdy Polak po przeczytaniu tego wiersza wie, że mowa jest o Świtezii. Jezioro to jest pełne uroku, nieduże, okrągłe, otoczone jak ramą ciemnymi lasami. Podobnych do niego, a może nawet ładniejszych zliczyć można w Polsce dziesiątki, ale Opatrzność chciała, że genialny młody człowiek pisał o Świtezii ballady, więc, choć wiele pięknych nocny świeci nad innymi jeziorami, o żadnym nie dźwięczy strofka:

*Gwiazdy nad sobą i gwiazdy pod sobą I dwa zobaczysz księżycy.*

Kiedy, w 1921 r. po umiarkowanym i kompromisowym pokoju w Rydze, nowogródzkie ostatek przy Polsce, turystyka rozwinęła się w szczęśliwym dwudziestolecu przed obecną wojną. Wybudowano szosę z Nowogródka do Świtezi, wybudowano nad nią schronisko, studenci, skauci, pensjonarki zjeżdżali gromadnie nad jezioro, chodzili wzdłuż jego brzegów i jedli leśne poziołki. Nowogródek, jak wszystkie miasta w polskim rządzie, budował się i odnawiał swoje białe tynki. Mieściła się w nim administracja województwa, powstawały szkoły świeckie i zakonne. Rolnictwo wsi i folwarków, bardzo dotknięte poprzednią wojną, podnosiło się i zakwitło na nowo. Może nie hodowano już tak pięknych koni, jak te, z których słyneły jarmarki w Mirze. Wiele dworów zostało spalonych, wiele straciło na dawnej okazałości, ale dodac należy: szczęście mieszkających w nich ludzi nie było tylko oparte na ilości zwierciadeł, srebra i talisandrowych mebli. Obyczaj łączący między sobą Polaków jest z istoty swojej o wiele bardziej duchowy, niż materialny i ten kto znał Woroczę, jedną z najśliczniejszych siedzib wiejskich przed wojną 1914 r., z salonami pełnymi stylowych mebli, nie przestał kochać jej ścian i mieszkańców, gdy zostało w niej tylko trochę stołów i plecionych foteli.

Zresztą wkrótce w Europie żaden kraj nie będzie miał powodu wynoszenia się nad drugim swoim bogactwem. Może za to prawa do głosu nie stracą uczucia dawniej szanowane, a wśród nich Miłość. Gdyby głos Miłości miał tę samą wagę materialną co czolgi, propaganda i kłamstwo, cena ziemi nowogródzkiej byłaby niedościgną. Jeżeli jednak Miłość zwycięży, nigdzie bardziej, niż w Nowogródku nie powinny rozbrzmiewać słowa Psalmisty:

*Ty powstawszy zmiłujesz się nad Syjonem, boć czas zmiłowania nad nim, bo przyszedł czas. Albowiem upodobały się sługom Twoim kamienie jego, a uzała się ziemia jego.*



Jan Matejko: Rejtan

Na stronicy angielskiej: Zamek w Mirze.

taką chwałą poezji, że pisać o niej jeszcze — wydaje się zuchwałstwem. Z drugiej strony — miłość i zainteresowanie pewnymi okolicami nie gaśnie w żadnym kraju. W Anglii jeziora Kumberlandzkie opiewali poeci z początku XIX w., a następnie Horace Walpole wplótł je do swoich powieści o Herriess'ach, do Stratford nad Avon, pielgrzymuje każdy, nie mówiąc już nawet o znaczeniu Weimaru dla Niemiec, albo Prowancji dla Francji.

Michał Baliński w swojej historycznej geografii pisze poprostu: "jedną z najpiękniejszych krain Polski jest województwo Nowogródzkie," nie dodaje jednak, że najbardziej malownicza część tej prowincji, owe "pagórki leśne i łąki zielone, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnięte" tworzą jakgdyby półkole, nad brzegami Serwecy i Niemna z Nowogródkiem jako centrum. Przed tą niziną nadniemeńską musiały się kończyć przedhistoryczne lodowce, dzięki czemu ziemia jest niezwykle żyzna, z glinek aluwialnych utworzona.

Historia tego kraju w założeniu swoim przypomina Polesie, to znaczy, że wielki najazd Mongołów w 1241 r. zostawił go otworem dla podboju książąt litewskich. Naprzód zdobył go ks. Erdzieni, potem władał tam brat jego Mendog, ochrzczony wraz z żoną Martą i ukoronowany na króla Litwy w 1252 r. z upoważnienia papieża Innocentego IV-go.

Przez następne półtora wieku Nowogródek i

w Prusach, aż szczęśliwie Unia z Polską i bitwa pod Grunwaldem w 1410 r. uwolniła te ziemie od obcych najazdów do 1654, kiedy dotknęła je nowa i straszna wojna, szczęśliwie przezyciężona.

Przed upadkiem Polski i jej rozbiorem w ciągu XVIII w. województwo nowogródzkie odznaczało się niezwykle bujnym życiem społecznym, daleko większą regionalną żywotnością od zachodnich prowincji polskich. Znaczenie tych zjazdów, Trybunałów, swobod politycznych, wielka liczba osiadłych tam rodzin, dworów i pałaców była następnie natchnieniem dla wielu pisarzy i ich opowieści. Ignacy Chodźko i Henryk Rzewuski wyróżnili się w tym gronie. Ale tak jak nie ma dymu bez ognia, tak nie ma twórczości bez środowiska. Przypomnijmy więc sobie, że Mysz i Lachowicze, leżące na południu województwa, były siedzibą wielkiego hetmana Karola Chodźki, że Szczorszy nad Niemnem zawsze należały do Litaworów Chreptowiczów i że jeden z członków tej rodziny, Joachim Podkanclerzy W.X. Litewskiego jeszcze u końca XVIII w. odczynszował swoich włościan, — dobra jego słyneły ze wzorowej gospodarki, a pałac z cennej biblioteki. Na południe od Serwecy wznosi się Mir, wspaniały zamek o pięciu basztach, budowany przez ks. Radziwiłła, przezwane "Sierotką" a jeszcze dalej Nieśwież, siedziba główna Radziwiłłów z zamkiem, murami, szeregami kościołów, złączony z tradycją historyczną



Ks. BISKUP KAROL RADOŃSKI

## LWÓW I WILNO

Dnia 28 zm. w Westminster Cathedral Hall w Londynie odbyło się wielkie zebranie manifestacyjne w obronie całości Rzeczypospolitej. Na zebraniu tym, zwołanym przez Związek Ziem Północno-Wschodnich i Związek Ziem Północno-Wschodnich, przedstawiciele wszystkich wyznań religijnych, wszystkich kierunków politycznych i wszystkich narodowości zamieszkujących wschodnią połowę Polski zaproszowali jednomyślnie przeciwko wszelkim zamysłom jakichkolwiek zamachów na całość i suwerenność Polski.

Podajemy poniżej przemówienie, w imieniu ludności katolickiej, wygłoszone przez Ordynariusza diecezji Włocławskiej, członka Rady Narodowej, J.E. Księdza Biskupa Radońskiego.

DZISIEJSZE TAK LICZNE ZEBRANIE stwierdza jawnie wobec swoich i obcych, że wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, bez różnicy pochodzenia, narodowości, wyznania, poglądów politycznych, czy społecznych, są jednej myśli, gdy chodzi o sprawę, która nas tu zgromadziła, o stwierdzenie, że uważamy wschodnie granice naszego Państwa za część organiczną Polski. To nie są prowincje kiedyś zabrane, które by można odstąpić bez szkody dla całości, pozbyć się ich, jak się pozbywa niepotrzebnego, obciążającego balastu. To jest połowa całości organizmu Polski.

Wilno i Lwów, stolice tych obszarów, to nie miasta obce, noszące tylko zewnętrzną pokost polskości, ale tak samo nasze, jak naszą jest Warszawa, Kraków i Poznań, nasze duchem, nasze wielowiekową historią, nasze sławną przeszłością i nadzieją wielkiej przyszłości.

Nie ma różnicy między Wilnem i Lwowem, a miastami zachodniej Polski. Oba mogłyby leżeć tak samo nad Wisłą, czy Wartą. Natomiast niepodobna je sobie wystawić nad Dnieprem, czy Wołgą — tam by raziły wśród obcego zupełnie otoczenia.

Co ma wspólne Wilno ze Wschodem? Chyba tylko sto lat ucisku, niewoli i przesładowania. A Lwów jest miastem polskim, leży w ziemi, która wspólną jest ojczyzną dwu narodów i to od wieków, — narodów, które, choć nieraz skłócone, mogą dojść i dojść do zgodnego współżycia do wzajemnego poszanowanie swych praw — ale i tu trudnoby było dopatrzeć się czegoś, co było magnesem pociągającym miasto to ku Wschodowi.

Pragnę przypomnieć, jakie znaczenie mają te dzielnice dla Kościoła polskiego, dla katolików polskich. Ostra Brama to drugie po Jasnej Górze Częstochowskiej sanktuarium mariańskie.

Wyobraźmy sobie tłumy wypełniające ulicę ostrobramską, rozmodlone, pozbawione usiesienia wiary. Co to jest? — To Polska...

Trudno wymazać z pamięci chwilę słubów Jana Kazimierzowych we lwowskiej katedrze — to pierwsze "Królowo Korony Polskiej módl się za nami," które wszczęło nieprzerwaną litanie wiary i nadziei, mocnej jak śmierć, niezwalczony jak miłość...

Niech oznajmiją święci patronowie Narodu, a synowie tej Krainy, Kazimierz król, Bobola męczennik, Jakób Strzemię, arcybiskup, Jan z Dukli, bohater obrona Lwowa w bernardynskim habicie, miejskiej straży pierwszy nacelnik, jak go nazwał wdzięczny senatus populusque Leopoliensis — niech oznajmiją, co dali przez Polskę Kościołowi i przez Kościół Polsce.

Niech powstaną wielkie duchy Kościuszków, Mickiewiczów, Słowackich, ci pierwsi w Narodzie, których te właśnie ziemie wydały i wykarmiły; wszak to nie obcy, a synowie Polski, wszak to oni z tej Polski:

"zrobili nazwiska  
pacierz, co płacze i piorun, co błyska."  
Zwołali to zebranie rodacy z ziem północno-wschodnich i południowo-wschodnich, jako najbardziej w tej sprawie zainteresowani, ale czy są wśród Polaków jedni więcej, drudzy mniej zainteresowani tą kwestią? Czy są mniej lub więcej obojętni, gdy chodzi o całość Państwa, o niepodległość naszą, o naszą wolność? Bo przecież ostatecznie o to idzie gra.

My wszyscy równie przywiązani jesteśmy do naszych wschodnich ziem, jak rodowici synowie i grożące tym ziemiom niebezpieczeństwa przeżywamy pełni nie mniejszych obaw, jak te co nurtują w duszach tamtych naszych braci. Pragniemy stwierdzić, że jesteśmy jedni z całym Narodem, jedni z Rządem, któremu ufamy i jedni z opinią uczciwą, zataczającą coraz szersze kręgi wśród obcych.

Ks. BISKUP SAWA

STANOWISKO  
PRAWOSŁAWNYCH

(Mowa na tymże zebraniu wygłoszona)

Z GŁĘBOKIM WZRUSZENIEM biorę udział w tym zebraniu i z prawdziwą radością witam w imieniu Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego wszystkich zebranych tu członków Stowarzyszeń Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej.

Bez różnicy wyznań, wszystkich nas łączy wielkie umiłowanie naszych pięknych ziem wschodnich i Naszej Wielkiej Ojczyzny, Rzeczypospolitej.

Jako biskup Grodzieński i Nowogródzki wiem, jak wzdryczy ich obywatele przepojeni są głębokim przywiązaniem

ADAM ŻÓŁTOWSKI

## KTÓRA LINIA CURZONA?

(Urywek z przemówienia, wygłoszonego na tymże zebraniu)

JEST JESZCZE INNY ARGUMENT, Z którym nieraz musimy się rozprawiać, a mianowicie, że choć Ryski był jakoby niezbyt rzetelną umową, którą Polsce udało się wymusić na Rosji, gdy ta ostatnia była chwilowo osłabiona. Trzeba zauważyć przede wszystkim iż warte śmiechu po prostu jest twierdzenie, że związki Polski z Wilnem, Grodnem, Nowogródkiem, Brześciem, Krzemieniem, Żbarążem, Lwowem powstały stąd jedynie, że w roku Pańskim 1920 Rosja była słaba, a Polska tak niesłychania potężna.

Malo kto przypomina sobie, iż, odrzucając w r. 1920 propozycję lorda Curzona, rząd sowiecki wyraźnie zaznaczył równocześnie, iż słuszną granicą, którą chce z Polską ustanowić, będzie przeprowadzona na wschód od linii proponowanej. Jeszcze mniej ludzi wie, że w urzędowej historii Partii komunistycznej stwierdzone jest — w słowach może przesadnych nieco, lecz niewątpliwie, całkiem zgodnie z prawdą — że w latach 1920-1921 Polska była równie wyczerpana, i w nie mniejszym mierze żądna pokoju, aniżeli Rosja sowiecka.

Wreszcie, aby już skończyć z Linia Curzona, mamy wszelkie prawo zapytać, która Linia Curzona winna być wzięta za podstawę porozumienia między Polską, a Rosją Sowiecką? Wszystkim wiadomo, iż lordowi Curzonowi zdarzyło się podpisać w czerwcu 1920 depeszę, proponującą linię zawieszenia broni, ale wszyscy zdają się zapominać, że tenże lord Curzon równie był ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii w r. 1923, kiedy Polska zwróciła się do konferencji ambasadorów o zatwierdzenie swej granicy ze Związkiem Sowieckim, wytyczonej w Rydze. Włochy w tym czasie skłaniały się do tego kroku,

ale Francja wahała się, wciąż biorąc pod uwagę pretensje rosyjskich reakcyjnych żywiołów emigranckich. I wówczas to wpływ lorda Curzona przeżył, i na skutek jego właśnie instrukcji uznanie polskiej granicy zostało podpisane przez ambasadora brytyjskiego w Paryżu, dnia 15 marca 1923 r. Tak więc, jeżeli autorytet lorda Curzona ma być w tej sprawie wysuwany, posiadamy wszelkie prawo powoływać się nań dla obrony granicy polsko-rosyjskiej, tak jak została ona ustanowiona w Rydze, 18 marca 1921.

A wreszcie, jeszcze jedna uwaga, zanim skończę to krótkie przemówienie: narody Europy Środkowo-Wschodniej są oskarżane o kłótność i o wywoływanie nie-

pokoju w stosunkach międzynarodowych. Nie potrzebuję wskazywać tutaj, że to nie one rozpoczęły wojnę obecną, pragnę jednak zwrócić uwagę, że w jej toku w łonie narodów tych powstało dążenie do zjednoczenia i do wspólnego zorganizowania swego życia w imię lepszej przyszłości. Pozostanie jednak w pamięci fakt, że jedno z wielkich mocarstw protestuje ostatnio przeciw tym projektom, uważając je za godzące w swe interesy. Polska zna takie głosy: podobnież Katarzyna i Fryderyk II, król pruski, z początku oskarżali nas o anarchię, następnie zaś sprzymierzili się celem niedopuszczenia do reform wewnętrznych, które naród polski chciał przeprowadzić.

ANDRZEJ PŁODOWSKI

## WSPOMNIENIE

## O Ś.P. Ks. ROMANIE ARCHUTOWSKIM

BYŁ TO DZIEŃ PIERWSZY LISTOPADA 1939 r., Siedziałem wraz z przyjacielem — Zygmunt Z. — na cmentarzu Powązkowski w Warszawie: ja na grób matki, on zaś na grób, niedawno zmarłego, swego ojca. Idąc ulicą Marszałkowską opowiadaliśmy sobie przeżycia ostatnich dwu miesięcy. Zygmunt walczył na Wileńszczyźnie. Pułk jego, wzięty w dwa ognie, otoczony od zachodu przez Niemców a od wschodu przez bolszewików, rozwiązał się. Część żołnierzy przedarła się do Litwy, inna przekroczyła granicę tatarską. Zygmunt w chłopskim przebraniu przedostał się z rosyjskiej do niemieckiej okupacji. Powrócił do Warszawy.

Rozmawiając, przeszliśmy całą niemal ulicę Marszałkowską, pozostawiając poza sobą ruiny domów, grożące zawaleniem. Na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich, naprzeciw Dworca Głównego, natknęliśmy się na olbrzymi tłum Polaków — tłum milczący i jakoś dziwnie skupiony, spokojny, poważny. Machinalnie sięgnęłam po kapelusze, widząc obnażone głowy innych mężczyzn.

Tłum otoczony był przez żołnierzy niemieckich, zbrojnych w ręczne karabiny maszynowe. Polacy jednak zdawali się nie dostrzegać Niemców, których twarze zresztą wyrażały jakieś dziwne zakłopotanie.

W pewnym momencie tłum zachwiał się, pochylił. Nie zdając sobie sprawy, co robie, i ja zgiąłem kolano, kłękając na betonowej płycie ulicznego chodnika. Kłękaliśmy przed wspólnym grobem 16 żołnierzy polskich, którzy zginęli w obronie Warszawy, przed grobem wykopanym na ulicznym trawniku, w bliskim sąsiedztwie górzyszcz i ruin Dworca Głównego.

Światło, w krzyż ustawionych, świec odbijało się o czerwień i biel polskiego sztandaru, spowijającego kula przesytyhelm.

— Patrz, Dyrol... — usłyszałem naraz, szeptem wypowiedziane słowa Zygmunta Z. Rzuciłem okiem: tuż przed grobem kłękał dyrektor gim-

nazjum im. św. Stanisława Kostki, do którego wraz z Zygmuntem uczęszczałem — ks. Roman Archutowski.

Kłękał, głosem mówiąc modlitwy za zmarłych. Może modlił się za swych wychowanków, których przez 11 lat swej pracy dyrektora gimnazjum szkolił, nauczał i wychowywał.

Lecz oto i on dostrzegł nas. Na moment na obliczu jego ukazał się błady uśmiech, by natychmiast ustąpić miejsca głębokiemu skupieniu.

W dniu 2 lutego b. r. ogłoszono w prasie polskiej i w radio informację, iż "w obozie w Majdanku został zamordowany przez Niemców ks. Roman Archutowski, kanonik kapituły i rektor seminarium duchownego w Warszawie. — Ś. p. ks. Archutowski był autorem znanych podręczników szkolnych i autorem innych z dziedziny dogmatyki i historii Kościoła."

Ileż jednak treści dla mnie zawiera ta krótka wiadomość! Ileż wspomnień... Osm lat spędzonych w gimnazjum, którego był dyrektorem, przesuwają mi się przed oczyma. — Osm lat młodości, w których On spełniał tak wielką rolę. Był moim wychowawcą, nauczycielem i przyjacielem. Był przyjacielem całej młodzieży, którą kochał i której tyle trudu poświęcał.

Dwu scen nie nie zdola wymazać z mej pamięci: Kłęczącej wśród tłumy, smukłej postaci księdza Archutowskiego, odmawiającego modlitwy za zmarłych, i drugiej sceny, ostatniej mej wizyty u Niego. Było to w grudniu 1939 r., tuż przed Bożym Narodzeniem. Spotkałem go na ulicy. Poprosił mnie do swego mieszkania na Senatorskiej. Tam, wyciągnął gdzieś z sutanny zmięty egzemplarz tajemnego pisma "Pobudka." Na pierwszej stronie widniał duży artykuł p.t. "Armia polska we Francji."

— Ja tu zostanę — powiedział — tam miejsce dla młodych. Tutaj dla mnie pracy aż nadto.

Zrozumielśmy się natychmiast.

ARKADY FIEDLER

## Ks. JAN BEYZYM

POLSKI OPIEKUN TRĘDOWATYCH

MIĄŁ JUŻ LAT 48, — A WIĘC WIEK W którym inni pragną spokoju, — gdy wyrwał się na szeroki świat. Biografowie twierdzą, że do wyrazu natchnęta go książka pewnego misjonarza, opisującego swe przyżycia wśród trędowatych w Azji. Nie wierzę. Książka była może ostatnim ogniem w łańcuchu przyczyn, ale najważniejszym bodźcem było na pewno ziarno, tkwiące w jego duszy od wielu lat, ziarno wspólne zuchwałym konkwistadorom, świętym, odkrywcom dalekich mórz i apostołom, ziarno niepokoju i buntu przeciw ciasności własnego podwórka.

Uzbierał się w nim ogromny zapas miłości, jakaś niewylana a tłumiona dotychczas rzeka miłosierdzia i żądzy poświęcenia. Tym bogactwem wyróżniał się od innych ludzi, nawet od swych braci w zakonie. Był jezuitą.

Z sercem i z radością spełniał obowiązki wychowawcy młodzieży w polskich konwiktach jezuitów. Lecz to nie zaspokajało jego pragnień. Nurt tej niespokojnej rzeki rósł potężnie, napierał na wewnętrzne tamy. Dla swego ujęcia potrzebował najgłębszego dna ludzkiego nieszczęścia, szukał na ziemi nędzy piekła.

Znalazł Księdza Beyzima piekło na Madagaskarze. Przez trzynaście lat służył malgaskim trędowatym. Lecz Madagaskar, trędowaci, straszliwe warunki życia, wreszcie śmierć wskutek zarażenia trędem to rzeczy uboczne, to tylko tło, na którym rozgrywał się wspaniały, przejmujący dramat jego życia: bezustanny wylew niewyczerpanego, bezgranicznego poświęcenia. Wylew rzeki o niewysychającym źródle miłości i dobroci.

Misjonarz, idący w puszczę, by nawracać pogan, jest bohaterem. Naraża swe życie, lecz ma widoki zwycięstwa i przeważnie wraca żywy i w chwałę do cywilizacji. Ksiądz Beyzim, ofiarowując swe usługi trędowatym, szedł świadomo-

mie na pewną, choć powolną śmierć. Kto tak, jak on, pracował, z tej służby nie wracał cały. Ksiądz Beyzim dowiódł wyższego stopnia bohaterstwa.

Przybył na Madagaskar pod koniec 19 wieku, za ledwie w trzy lata po zdobyciu kolonii przez Francuzów. Jeszcze całej wyspy nie opanowano. Władze francuskie, pochłonięte pilniejszymi troskami, niewiele zajmowały się mogły chorymi. Rządowe schronisko trędowatych pod Tananarywą było w zupełnym zaniedbaniu.

Wtedy wkroczył ksiądz Beyzim. Nie przeraził się trudów. Zakasał rękawy. Był sam jeden, bez niczyjej pomocy. Bronił swych "piskląt" przed kijami sąsiadów, zabiegał o ryż codzienny, użerał się o odzież, dzielił się z chorymi własną porcją jada, opatrzył cuchnące rany, własnoręcznie obmywał kikuty i kłęk, spełniał najniższe posługi. A przy tym wszystkim wniósł uśmiech i pogodę.

Ksiądz Beyzim nie był urywki. Miał szorstką twarz, zapewne po tatarskich mistrzackach. Lecz twarz ta, rozjaśniona wewnętrzną dobrocią, dla trędowatych stawała się najbliższą ostodą. Nazywali go ojcem i matką. Wielu Europejczyków kiwało głowami na takie zaparcie się samego siebie. Inni nie posiadali się z podziwu, że potomek wysokiego rodu z Polski umiał poświęcać się tak bezgranicznie najbardziej niebezpiecznej chorobie malgaskiej, nędzarzom, moralnym i społecznym pariasom. Lecz tu nie chodziło o to, czy to byli pariasi: chorzy przedstawiali tylko najgłębszą otchłań ludzkiego nieszczęścia i temu nieszczęściu poświęcił się misjonarz.

Widząc dokoła siebie oplakane stosunki i niedostatki, powiedział od samego początku śmiało myśl wybudowania wielkiego, nowoczesnego schroniska dla trędowatych, i to wybudowania za polskie pieniądze.

Wciąż zaczął kłócić do Polski, prosić ludzi dobrej woli i wzywać do ofiarności. Posyłał listy, drukowane w czasopiśmie "Misyje Katolickie," i w tych listach opisywał Madagaskar, swoich trędowatych i swoje zamysły tak ciepło, tak przekonująco, że wkrótce zaczęły płynąć składki. Umiął widocznie jak prawdziwy apostoł trafić do serc. Wynika to z obfitego nurtu ofiar, płynącego z Polski coraz szerszym korytem. A ponieważ potrzebował pieniędzy huk, więc nie przestawał pisać listów aż do samej śmierci i do samej śmierci mamy odbicie tego, co się dzieło w nim samym i dokoła niego.

Niestrudzoną energią dopiął swego: po kilku latach polskich ofiar stanęło jego leprozarium w miejscowości Marana, w krainie Betsileo, gdzie szerzyło się główne ognisko choroby. "Solą w oku tutejszych urzędników jest trochę mój szpital, bo na całej wyspie takiego zakładu nie ma," pisał wtedy ksiądz Beyzim do Polski z dumą, zupełnie usprawiedliwioną, bo nawet i dziś dopatrzeć warto na to schronisko. Kto zwiędza Fianarantsoa, stolicę Betsileo, ten poświęca zwykle kilka godzin na wycieczkę do Marana, by zobaczyć rozległe gmachy i przy tej okazji dowiedzieć się ze zdziwieniem, że dzieło to zapoczątkował polski misjonarz.

Listy księdza Beyzima do Polski są wzruszające. Pogodne, czasem nawet żartobliwe, tchną dziecięcą naiwnością, na jaką bez umyślnie stać tylko wielkie służby Boże. Są może trochę rozwlekłe, może pod lupą srogiego krytyka się nie ostaną, lecz za to z każdej strony przebiega miłość bez granic, tkliwość i poczciwa prostota tak chwytająca za serca, że czytelnik w miarę lektury sam coraz bardziej przejmując się losem trędowatych i budową schroniska.

Przeżywamy więc z księdzem Beyzimum jego troski i radości, zwycięstwa i niepowodzenia. Na przykład, jakże rozczulające są dzieje polskich kwiatów! Misjonarz, rzecz zrozumiała, tęsknił wśród obcej przyrody do ojczystym lasem i poprosił Polaków, by mu przysłali "nasiona brzozy, czy płaczące, czy zwykłej, to już mniejsza o to, byle brzozy — i także nasiona grabiny." Ku jego ogromnej radości ktoś litoficiwy z Wilna przysłał mu różne nasiona. Schował je pieczołowicie do skrzyni, aby

później zasadzić, dołączył do nich nawet obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, do której pomocy zawsze się odwoływał w ważniejszych wypadkach, coż, kiedy paskudny klimat nasiona zabił. Rozwiązał skromny sen o białej brozowie na Madagaskarze i ksiądz Beyzim musiał żyć nadal bez polskich roślin.

Czasem, pomimo pracy w bród, ujrzy pod jakimś coś ciekawego. Oto zastanowił się, jakim sposobem pajak mógł usnuć pajęczynę poprzez rzekę. W następnym liście, po kilku miesiącach, wyjaśnia się zagadka: za pomocą wiatru. Misjonarz obserwuje także życie osy, zbierającej pajki do gniazda. Ubolewa nad plagą szarańczy a oburzenia nie szczędzi — i słuszenie — niecnym pochłom nożnym, kaleczącym nogi jego trędowatych.

Na krajowców patrzy jak kochający ojciec na dzieci i ma wielkie wyróżnienia. Lecz czasem nawet i jego anielskie serce się zachnie. "Malgasz uczciwy jest tu rzadkością," — wyrwie mu się, — "złodziejstwo okropnie zakorzenione... Chciwi są ogromnie, prawdziwi łapieszki..."

I rzeczywiście, chcąc należycie ocenić wielką ofiarę, jaką złożył Madagaskarowi, trzeba zrozumieć osobliwą duszę Malgaszów, nie znających uczucia, które my nazywamy wdzięcznością. Wszyscy etnologowie zgadzają się w ocenie, że u Malgaszów wdzięczności nie ma, a wyświadczone im dobrodziejstwa krajowcy tłumaczą sobie na opak. Należy przypuszczać, że i trędowaci nie poczuli się do zbytnej wdzięczności wobec księdza Beyzima, więc w pracy jego i poświęceniu tkwił tym większe, tym niezwykłe bohaterstwo. Coprawda misjonarz kilka razy wspomina o przywiązaniu swych pupilów, lecz, pełen rozlanego serca i dziecięcej prostoty, patrzył na nich tylko poprzez swoją bezgraniczną dobroć, zaślepiony własnym uczuciem. To on kochał. Czy tamci kochali — rzecz niepewna.

Listy z ostatnich lat czyta się jak wzbierającą tragedię. Piękny szpital już wybudowany, więc najważniejsze dzieło spełnione. Ksiądz Beyzim marzy o nowym wysiłku, o jeszcze większym poświęceniu. Prosi przełożonych w Polsce, by go wysłali na Sachalin, gdzie podobno ludzie

cierpią największą biedę. Chwali się pół żartem, że ma jeszcze dość sił: "Wąsa nie podkręcę, bo go nie mam, ale za łaską Bożą trzymam się pomimo kopy lat nie jak stary grzyb."

A tymczasem był już ciężko chory. Przy takich heroicznym usługach musiał się zaryzykować. Straszliwa choroba z pewnością od wielu lat zatapiała w nim swe szpony, z których już nie miał się wyrześć. A jednak pisze wciąż listy najpogodniejszego, pełne ufności i marzeń o tym, czego jeszcze dokona. Czy przezwycięża chorobę? Prawdopodobnie tak. Może wierzyl w jakieś cudowne uzdrowienie. A może spodziewał się, że mroz północny powstrzyma rozwój trądu i dlatego tak gorąco uczył się myśli o Sachalinie?

Jeszcze w ostatnim liście, pisanym do Polski na miesiąc przed śmiercią, cieszy się jak dzieckiem, że niebawem ujrzy kraj. Widąc w tym liście całą jego radosną, płonącą duszę, wyrwającą się ku północy, ku swoim

W kilka dni później upada, wyczerpany z sił. Już z łoża nie powstanie. Ostre cierpienia zbliżające się śmierci znosi mężnie, z wielkim spokojem i równowagą ducha. Umiera, jak żył, jako pokorny a niezłomny rycearz. Raz tylko — musiało bardzo boleć — wyrwie mu się na pół przytomny jęk:

— Wszystko boli. Jestem złamały...

Dnia 2 października 1912 serce jego przestało bić.

Mogła jego wznosi się w Maranie, na zboczu wzgórz. Trzeba do niej wspiąć się uciążliwą drogą, obok stromej przepaści. Z góry rozciąga się szeroki, podniosły widok na zaludnione doliny rzeczne i na szpital trędowatych.

Do mogiły przychodzi pielgrzymi, biali i brązowi. Misjonarza o szorstkim wizerunku i najczulszym sercu wielu jeszcze pamięta. Lecz wszyscy, prawie bez wyjątku, wiedzą, że ów misjonarz miał rzewny wyraz: nad łóżkiem każdego chorego wieszal obrazek Matki Boskiej, którą zwal Królową Korony swej dalekiej Ojczyzny na północ, a która — rzecz dziwna i przejmująca wszystkich Malgaszów — miała twarz brązową, tak samo brązową jak twarz ludności Madagaskaru.



# THE COMMON CAUSE

FORTNIGHTLY OF THE POLISH SECTION OF THE "SWORD OF THE SPIRIT"

EDITORIAL OFFICE: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1.

Telephone: MAY 2928

Vol. III No. 3

SUNDAY, FEBRUARY 20th, 1944

Price 3d.

JAN REMBIELIŃSKI

## THE DEMOCRATISATION OF SIN

WITH THE PROCESS OF DEMOCRATISATION is linked a certain symptom which was not foreseen by its pioneers and enthusiasts, but which may easily become its most important consequence, in the light of later history. For it is already clear how dangerous are its consequences and what a hostile influence it may exert on the moral attitude of the world in the future.

Under the *ancien régime* the monarch ruled "by God's grace," and thus as a rule in the name of his hereditary right. The ruling classes, larger or smaller, were also founded on heritage or privilege. Even when, exceptionally, in times of civil war, authority actually came into the hands of the people, the principle from which it was derived remained inviolable: of two pretenders, the people chose not him who attracted them by his programme but him who in their view had the best legal right. So, by not appointing nor setting up the government, they did not burden their own consciences with its policy, but on the contrary were convinced that this government alone took the whole praise or blame for the moral aspect of this policy. Their own duty was simply, in their view, to be loyal to the legal ruler, unflinchingly loyal in fortune and misfortune, and to carry out his legitimate commands.

Today things are different. Today the people in both democracies and dictatorships are constantly taught that the government arose by their assent, and that it will continue only as long as it is the expression of their aims and their ideals. Whatever, therefore, may be the real situation, the man in the street must be convinced in his own mind that everything in the political sphere takes place with his will and on his moral responsibility. He is constantly told, both by his his own people and by the foreigners that if the situation were otherwise, it would be the man in the street's duty to fight for his own views—whether in a legal or even (in dictatorships) revolutionary manner. If he does not do this, he must say to himself that what is happening is right and just, he must give his own moral approval to everything on his own conscience.

The importance of this change becomes all the greater in that it is followed by a second of equal importance: namely, today the masses are much better informed about the course of events. This does not of course mean that the art of misleading public opinion has died out or lost its specialists. On the contrary it is only fair to admit that this art is flourishing more than ever today. There are however certain characteristics linked with the very nature of contemporary propaganda and press-work which prove that in spite of everything it is considerably more difficult to conceal the truth today than it was formerly.

In this the enormous amount of information available to the contemporary person plays the most important role. Formerly, the people learned about the causes of a war or allied obligations from one speech or proclamation, and it was not difficult to frame these in accordance with diplomatic plans. Nowadays, when the average citizens receives his daily morning and evening papers, where he can listen to radio news-bulletins and commentaries every few hours, there is no way to ensure that all this news should be so carefully adapted to the needs of the *raison d'état*. In such a spate of news a little of the truth must creep in, be it ever so diligently kept out.

The custom of daily or even hourly publication of news also helps to ensure that it should be more difficult to falsify reality. When news was published only from time to time, it was possible to adapt it to the needs of the time, and to take into account the further development of events. Today, with a system of instant publication, adaptation is not always possible. It is not always possible to foresee that a given political system which was regarded with aversion will suddenly have to be acknowledged as a creative element in the world and as a comrade in the building of a better

future. (A very amusing instance of this was provided by Hitler, with his incessant attacks on Communism, and his later declaration — after the Ribbentrop-Molotov Pact — that the Third Reich and Soviet Russia would "jointly take upon themselves the burden of creating and defending a new order in Central-Eastern Europe.") One does not always know which of the facts which one asserts today it will one day be more comfortable to erase from the memory. . . .

Thus at the present time we are facing a paradoxical situation. On the one side there is an evolution towards the policy of "great areas," and the number of the centres of political decision in the world is constantly being decreased, whereas within these great wholes there is a shrinking of the influence and role of

the man in the street, who is becoming a mere speck of dust, incapable of enforcing his influence on the continent-wide questions that are decided. What is more, total war, with its necessity for a united command and planning multiplies one hundred-fold this tendency towards the concentration of authority in one hand. Never in history surely has such unchecked power and decisions which affect the whole world been concentrated in the hands of so few people.

On the other hand there is another symptom of equal weight: the people, obedient to authority, today feel subjectively that they recognize not only its right to govern but also its *acts of government*, taking them on to their own responsibility and conscience. At the same time the multiplicity of information

available to the man in the street results in his having—despite propaganda drives—a sufficiently good knowledge of the things to which he gives his agreement.

And here, in the light of these statements, is shown with tragic clarity what a vast and appalling responsibility lies at this moment on these few, who are now in fact the most absolute rulers of nations. Formerly, when a state conducted a dishonest policy and behaved treacherously and perfidiously, the awareness of this did not usually pass beyond a few politicians and diplomats. When the partitions of Poland were effected in the 18th century, this crime did not instil a deadly poison into the souls of the people of Europe as a whole, since the great majority of them did not know what was happening nor feel their part

in this act. In one of Merezkowski's novels, for example, Peter the Great prays that he himself may pay for his crime, but implores God to spare the people of Russia, who had nothing to do with it. . . .

Today all this is finished. Today every act of treachery, wrong or conquest carried out by the rulers, burdens and poisons the conscience of their people as a whole. Today everything is clear and known—and every nation, when accepting the policy of its leaders, must itself arrive at the cynicism of the *raison d'état* from which this policy sprang.

And it is terrifying to think what will happen to humanity should the vast masses of the people come to have the moral outlook of Caesar Borgia, Frederic the Great or Metternich. . . .

J. A. Ż.

## THE PROVINCE OF NOWOGRODEK

NORTH OF POLESIE, TO EITHER SIDE OF THE railway running further on to Wilno, lies this country, so imbued with tradition and so glori-

and the surrounding district was, together with the remainder of the Lithuanian domains, in constant warfare with the dangerous and power-

Radziwiłł, nicknamed the "Orphan," and still further on Nieswież, the main seat of the Radziwiłłs, with a castle, walls and churches linked with the history, tradition and customs not only of Nowogrodek but of all North Eastern Poland.

Everyone who has visited the parish church in Nowogrodek could see there the memorial of Jan Rudomina, the castellan of Nowogrodek, raised to his fallen comrades in arms of the Battle of Chocim of 1621. Rudomina is shown kneeling below a likeness of Our Lady of the Rosary, with nine others around him, depicted without their heads as a sign that the Turks had cut them off. Another who made this land famous was Tadeusz Reytan, the deputy who so solemnly and dramatically protested in the Warsaw Diet against the first partition of Poland in 1772. He did not long survive this harsh trial and was buried in Lachowicz in 1780.

Amidst the misfortunes of this province and of Poland, so much else was forgotten that little is remembered of him except that he died of melancholia. Our great historical painter Matejko usually took great pains to draw his types and portraits with great accuracy, but in his picture of Reytan lying at the doors of the Sejm to prevent foreign soldiers entering it by force, he showed a man with dark hair and moustache and a rather wild look. Matejko certainly did not know, travel being rather difficult in the last half of the nineteenth century, that in one of the manor-houses by the Serwecz were two small, dark and rather ugly rooms hung with portraits. Neither the house nor the portraits exist now, and I rub my eyes as if after a dream when I recall them. This was the inheritance of the Niesiolowski family from Woronca, and there hung portraits of women by Baciarelli and Glazzi, with curls and low-cut bodices adorned with blonde lace, there hung Colonel Niesiolowski in his regimentals and in the corner was Tadeusz Reytan in a grey Polish coat, with a longish face and thin, flaxen hair combed downwards. In his picture this man, renowned for his violent protest, looked phlegmatic, with his blue, melancholic gaze.

Mickiewicz mentions this Reytan often as a great huntsman, and one of his references to Reytan's fame as a hunter runs:

*What would Reytan have said to this, had he lived? He would have gone back to Lachowicz to lie down and die.*

But shooting bears was not his only interest in life, and he would say the same today as at that famous session of the Diet.

This whole tradition was made famous by the son of a poor lawyer born in Zasie and brought up in Nowogrodek—Adam Mickiewicz. There is not a road, a wood, an inn or a manor near Nowogrodek over which his poetry did not soar like a rainbow:

*"He who is near Nowogrodek  
Coming to the dark pines of Pluzyn,  
Let him remember to halt his horses  
To look at the lake."*

Just as every Englishman who reads Macbeth knows the castle at Dunsinane, so every Pole after reading this knows that it refers to Swież. The lake there is enchanting, not large, and encircled by dark forests. There are dozens like it, and even more beautiful, in Poland, but Providence willed that a young genius should write about Swież. Thus many fair nights may shine over other lakes, but these words were written of Swież alone:

*"Stars above one and stars below  
And two moons to be seen."*

When the Nowogrodek district was rightly assigned again to Poland, after the compromise Treaty of Riga in 1921, tourist traffic sprang up in the happy twenty years before the present war. A main road was built from Nowogrodek to Swież, and by the lake a shelter; and students, scouts and schoolgirls flocked there, walked around its banks, boated on it, and ate the wild strawberries. Nowogrodek, like all the towns under Polish administration, was built up and its white plaster renewed. The provincial authorities had their seat there, and lay and church schools sprang up. Agriculture, which had been badly hit by the last war, began to flourish again. Perhaps the horses now raised were not as fine as those for which the fairs at Mir were famous. Many of the manor-houses had been burnt during the Great War 1914-18, and much of their old magnificence lost, but the happiness of the people living there was not based only on the number of the looking-glasses, silver and rosewood furniture. The way of life which links Poles together is essentially far more spiritual than materialistic, and those who knew Woronca, which was one of the most attractive country estates before 1914, with its rooms filled with antique furniture, did not cease to love its walls, and those who dwelt within them, when there remained only a few tables and plaited armchairs.

In any case there will soon come a time in Europe when no country will be able to vaunt its riches over others. Perhaps in return for this the sentiments which were honoured of old, and amongst them Love, will not lose their validity; if the voice of Love had the same material weight as that of tanks, propaganda and lies, the value of the Nowogrodek country would be without comparison. If Love finally conquers, the words of the Psalmist should ring nowhere more clearly than in this land of Nowogrodek:

*"Tu exurgens misereberis Sion: quia tempus miserendi eius, quia venit tempus,  
Quoniam placuerunt servis tuis lapides eius; et terrae eius miserebuntur."*



The castle of Mir in the Province of Nowogrodek

On the back page: The protest of Reytan, from an historical painting by Jan Matejko.

fied in poetry that to write anything more about it seems an impertinence. On the other hand, love of and interest in certain places will never perish in any country. In England poets sang of the Lake District at the beginning of the nineteenth century, and then Walpole wove it into his novels about the Herries family, while everyone visits Stratford-on-Avon. Weimar has a special meaning too for Germans, and Provence for the French.

In his historical geography Michal Balinski writes simply: "One of the most beautiful provinces in Poland is that of Nowogrodek," but does not add that the most picturesque part of this province, those "wooded hills and green meadows, stretching wide beyond the azure Niemen," form a semi-circle on the banks of the Serwecz and Niemen, with Nowogrodek as the centre. The prehistoric glaciers must have ended before the Niemen valley, and thanks to this the land is unusually fertile, being composed of alluvial clay.

The history of this country recalls that of Polesie, for the great Mongol raid of 1241 left it open to conquest by the Dukes of Lithuania. It was first conquered by Duke Erdzenit; then his brother Mendog, who was christened with his wife Marta and crowned king of Lithuania by authorization of Pope Innocent IV in 1252, ruled.

For the next century and a half Nowogrodek

ful Teutonic Knights, settled in Prussia, until fortunately the Union with Poland and the Battle of Grunwald in 1410 freed these lands from foreign invaders until 1654, when they were subjected to a new and appalling war, which was happily won.

Before the downfall of Poland and the partitions in the eighteenth century, the province of Nowogrodek was noted for its very flourishing social life, and showed far more regional vitality than the western provinces. The significance of these provincial diets, tribunals and political liberties, the great number of families settled there, of manors and of palaces, was an inspiration for many writers, amongst whom Ignacy Chodzko and Henryk Rzewuski were outstanding. But as there is no smoke without fire, so there is no creative activity without a proper environment. So let us recall that Mys and Lachowicz in the south of the province were the seats of the Grand Hetman Jan Karol Chodkiewicz, that Szczorsy on the Nieman always belonged to the family of Litawor Chreptowicz, and that one of the members of this family, Joachim, vice-chancellor of the Grand Duchy of Lithuania, is recorded as having liberated his tenants in the end of the eighteenth century, his estate being famous for its perfect management and his palace for its fine library. South of the Serwecz is Mir, a splendid castle with five bastions built by Prince



BISHOP KAROL RADOŃSKI

## LWOW AND WILNO

On January 28th a great manifestation took place in Westminster Cathedral Hall in defence of the integrity of the Polish Republic, organized by the Unions of North-East Poland and South-East Poland. At this meeting, representatives of all religions, political parties and national groups dwelling in Eastern Poland made a unanimous protest against all attempts against Poland's integrity and sovereignty.

Below we give the speech made by His Lordship Mgr. Radonski, a member of the Polish National Council and the Bishop of the diocese of Wloclawek.

TODAY'S LARGE ASSEMBLY IS A clear proof for ourselves and for foreigners that all the citizens of our Republic, irrespective of their origin, nationality, religion and political and social views, are unanimous regarding the question which has brought us together tonight, regarding the statement that we consider the eastern provinces of our state as an organic part of Poland. These are not provinces which were once seized and which could be taken away without damage to the remainder—thrown overboard as one would throw unnecessary ballast. This territory is one-half of the whole organism of Poland. Wilno and Lwow, its capitals, are not foreign towns, with only an externally Polish appearance; but are our own, just as are Warsaw, Cracow and Poznan; ours in spirit, ours by ages of history, ours in their glorious past and their hope of a great future. Wilno and Lwow are in no way different from the cities of Western Poland. Both might equally well be found on the Vistula or the Warta, but they would seem quite alien on the Dnieper or Volga.

What has Wilno to do with the East? Only a century of oppression, captivity and persecution. And Lwow is a Polish city, lying on ground which has been common to the Polish and Ruthenian nations for centuries. To two nations, which, although they quarrel at times, can and will live together in harmony and mutual respect for each others' rights—but it would be difficult to point to anything which might draw this city towards the East.

I should like to refer to the significance which these districts have for Polish Catholics. After Jasna Gora at Czestochowa, Ostra Brama is the second sanctuary of Our Lady in Poland. Do you recall the praying throngs which filled the streets in an ecstasy of faith? That was a part of Poland. . . .

It is hard to erase from our memory the oath taken by King John Casimir in the Cathedral at Lwow—that first "Queen of the Polish Crown, pray for us," which began an unbroken litany of

faith and hope, strong as Death, unconquerable as Love. . . .

Let these saints, patrons of our nation and sons of this land, Casimir, the King's son, the martyr Bobola, Jacob Strzemie, the Archbishop, John of Dukla, the heroic defender of Lwow in the Bernardine habit, the first "chief of the city guard," as the grateful senate and people of Lwow named him, let them bear witness what they gave through Poland to the Church and through the Church to Poland.

Let these saints, patrons of our nation Mickiewicz and Slowacki arise—those leaders of our nation, who were born and bred in these lands. They are not strangers but sons of Poland, and it was they who made Poland's very name "A prayer which weeps and a thunderbolt which flashes."

This meeting was called by our countrymen from the north-east and south-east, as being those most deeply interested in this matter. But are there amongst the Poles those who are more or less interested in this question? Are there those who are more or less indifferent in a question which concerns the integrity of our state, our freedom and our independence? For this is the real matter at stake.

We are all equally linked to our eastern lands as sons of Poland, and we live through the dangers which menace these lands with no less apprehension than do our brothers who live there. We wish to declare that we are at one with the whole nation, at one with the Government, we trust, and at one with the increasing numbers of those outside Poland who take a fair and honest view of this matter.

BISHOP SAWA

## IN THE NAME OF THE ORTHODOX CHURCH

(A speech delivered at the same meeting)

IT IS WITH DEEP EMOTION THAT I attend this meeting, and with real joy that I welcome all the assembled members of the Associations of the Eastern Territories, in the name of the Polish Autocephalic Orthodox Church. Regardless of creed, all of us are linked by the great love we bear for our beautiful lands in the east and for our great country.

As Bishop of Grodno and Nowogrodek I know that all citizens are imbued with a deep attachment to their homeland and

ADAM ŻÓŁTOWSKI

## WHICH CURZON LINE ?

(A fragment of the speech delivered at the same meeting)

THERE IS ANOTHER ARGUMENT with which we often have to contend, namely that the Peace of Riga was a sort of shady transaction which Poland succeeded in springing on Russia at a time of the latter's momentary weakness. May I say that in the first place it is simply laughable that Poland became linked to Wilno, Grodno, Nowogrodek, Brzesk, Lwów, Trembowla, Krzemieniec, Zbaraż, just because in the year of grace 1920 Russia was weak and Poland so overwhelmingly strong.

Few people remember that in rejecting Lord Curzon's proposal the Soviet Government explicitly pointed out that the right frontier which it would establish with the Polish people would lie east of the line proposed. Fewer people still know that in the official history of the Communist Party it is stated in terms perhaps a little exaggerated, but in strict accordance with the truth, that in 1920-21 Poland was just as exhausted and as eager for peace as the Soviet Union.

Finally to end with the Curzon Line, we might rightly ask which Curzon Line is to be the basis of agreement between Poland and the Soviet. Everybody knows that Lord Curzon happened to sign a despatch in July 1920 proposing a line of armistice, but everybody seems to have forgotten that Lord Curzon was also Foreign Secretary in 1923 when Poland applied to the Ambassador's Conference for recognition of her frontier with the Soviet Union was fixed at Riga. Italy was at that time favourable to such a decision, but France hesitated, always mindful of the claim of Russian reactionary circles. It was Lord Curzon's in-

fluence which prevailed and it was under his instructions that the recognition of the Polish frontier was signed by the British Ambassador in Paris on March 15th, 1923. So, if Lord Curzon's authority is to be invoked, we have every right to claim it in defence of the Polish-Russian frontier established in Riga on March 18th, 1921.

One more remark before I sit down: Countries of East Central Europe are charged with being quarrelsome and responsible for international trouble. I will not dwell upon the fact that they did not start the present war, but I do desire

to stress that in the course of this war the desire has arisen among those peoples to unite and to organize their life for a better future. It will, however, remain on record that voices of a great Power have been recently heard declaring that such an organization could not be tolerated, as possibly directed against its interests. Poland knows such voices. It was Catherine the Great and Frederick II of Prussia, who in the same way first accused Poland of anarchy and then concluded an alliance to forestall all efforts of good Polish citizens for reform and reorganization.

ANDRZEJ PŁODOWSKI

## IN MEMORIAM

## OF THE LATE MGR. ARCHUTOWSKI

IT WAS NOVEMBER 1st, 1939. I WAS going with my friend Zygmunt Z. to the Powazki Cemetery in Warsaw, I to visit my mother's grave, he to the grave of his father, who had died only a short time before. Going along the Marszalkowska Street, we spoke of the last two months. Zygmunt had been fighting in the Wilno district. His regiment, caught between two fires, the Germans to the west and the Bolsheviks to the east, had been dissolved. Some of the soldiers made for Lithuania, while others crossed the Latvian border. Zygmunt passed from the area under the Russians into the German-occupied part in peasant clothes. He returned to Warsaw.

Engrossed in our talk we walked right along the Marszalkowska, leaving behind us the ruins of buildings which threatened to collapse at any moment. On the corner of Marszalkowska and Jerusalem Street, opposite the main railway station, we came across a great throng of Poles—silent and somehow strangely grouped, calm and serious. Mechanically I reached for my cap, seeing the bare heads of the other men.

This throng was surrounded by German soldiers, armed with tommy-guns. The Poles, however, appeared not to see these Germans, whose faces expressed bewilderment. At a certain moment the crowd stirred and inclined itself. Not realizing what I was doing, I too bent my knee, kneeling on the concrete pavement. We were kneeling before the common grave of sixteen Polish soldiers, who had perished in the defence of Warsaw, and had been buried in a grass plot by the street, near the ruins of the main railway station.

The light of the candles arranged in a cross showed up the red and white of a Polish flag wrapped round a bullet-pierced helmet.

"Look," I heard a whisper from Zygmunt. I turned my eyes and saw, kneeling before the grave, Father Roman Archutowski, head master of the St. Stanislaus Kostka Secondary School,

which both Zygmunt and myself had attended.

He knelt, praying aloud for those who had perished. Perhaps he was praying for the pupils he had taught and brought up during his eleven years at the school. Then he saw us. A pale smile appeared on his face for a moment, to give way immediately to an expression of deep thought.

On February 2nd the Polish press and radio gave the news that "Mgr. Archutowski, canon of the chapter and rector of the religious seminary in Warsaw, had been murdered by the Germans in Majdanek concentration camp. The late Mgr. Archutowski was the author of some well-known text-books on Church dogma and history."

How much meaning that brief announcement had for me! How many memories! The eight years spent in the secondary school of which he was head master passed before my eyes. Eight years of youth, in which he played such a great role. He was my guide, my teacher and my friend. He was the friend of all young people, whom he loved and to whom he devoted so much labour.

There are two scenes which I cannot get out of my memory: the picture of the thin figure of Mgr. Archutowski kneeling amidst that throng of people and praying for the dead, and a second scene, during my last visit to him. This took place in December 1939, just before Christmas. I met him on the street, and he asked me to come back to his home in Senatorska Street. There he drew out from his suitcase a crumpled copy of an underground paper "POBUDKA." On the first page was a long article headed "The Polish Army in France."

"I shall stay here," he said. "The place for the young is there. Here there is more than enough work for me to do."

We understood each other immediately.

ARKADY FIEDLER

## FATHER JAN BEYZYM

POLISH MINISTRANT TO LEPERS

HE WAS ALREADY 48—AND THUS AT AN age when others desire a peaceful life—when he began to travel widely. The biographies say that he was inspired by the book of a missionary who described his experiences amongst lepers in Asia; but I do not believe this. Perhaps the book was the last link in the chain of causes, but the most important incentive was certainly the seed which had lain in his soul for many years, a seed shared with the audacious conquistadors and the holy apostles, the seed of disturbance and revolt against the constraint of one's own back-yard.

In him there was gathered a vast fund of love, an untapped river of compassion and self-sacrifice, stored all those years, and this marked him off from other people and even from his brother Jesuits.

He carried out his teaching duties in the Jesuit seminaries in Poland with good heart and joyfulness. But this did not appease his longing, and the current of this restless river grew ever stronger, pressing against his spiritual dikes. For its escape he needed to find the lowest depths of human misery, and sought a hell on earth.

Father Beyzym found this hell in Madagascar, where for thirteen years he tended the leper colony. But Madagascar, the lepers, the appalling living conditions, and ultimate death from leprosy were secondary things, only the background for the magnificent drama of his life: the incessant flow of inexhaustible and unbounded self-sacrifice, of the river with an ever-flowing source of love and goodness.

The missionary who goes into the wilds to convert the heathen is a hero. He risks his life, but he has a prospect of victory and generally returns alive and with glory to civilization. Father Beyzym, in devoting himself to lepers, went consciously to a slow and certain death.

A man who worked as he did could not return whole from such work. Father Beyzym attained the highest degree of heroism.

He went to Madagascar at the end of the nineteenth century, barely three years after the French conquest of the colony, before the whole island was fully pacified. The French authorities, weighed down by more urgent care, could not devote much attention to the sick. The government leper-colony at Tananarywa was completely neglected.

Then Father Beyzym arrived. He was not appalled by the difficulties, but rolled up his sleeves and set to work. He was alone and had no help at all. He defended his charges from the cudgels of their neighbours, saw to the daily rice supply, bargained for clothing, shared his own food with the sick men, did the most menial work, and with it all maintained a cheerful and smiling face.

He was not handsome, having a coarse-featured face, which certainly derived from his Tartar ancestors. But his face was so illumined with inner goodness that it was a solace to the lepers, who called him their father. Many Europeans shook their heads at such self-denial, while others were amazed that the descendant of a great family in Poland could devote himself so unrestrainedly to the most wretched Malagasy rabble, beggars, moral and social pariahs. But it was not a question of their being pariahs. These sick people simply represented the deepest abyss of human misfortune, and it was to this misfortune that the missionary devoted himself.

Seeing the lamentable conditions and need around him, he conceived almost from the very beginning the bold thought of constructing a great, up-to-date leper colony with Polish money. Therefore he began to ask for contributions in Poland, calling people of goodwill to

be generous. His letters were published in the periodical "The Catholic Missions," and they described Madagascar, the lepers and his plans so fervently and convincingly that soon contributions began to pour in. Like a real apostle he knew how to reach the hearts of his listeners, as was evident from the stream of offerings which flowed in from Poland in an ever-increasing flood. But he needed so much money that he did not cease writing appeals to the day of his death, and to this day we have a picture of what was going on in his own soul and around him.

He achieved his aim by indefatigable energy; after some years the Polish offerings were enough to raise his Leprosarium at Merana in the Betsileo district, which was the main battleground of the disease. "My hospital is rather a slap in the face for the local officials, for there is not another such institution on the whole island," wrote Father Beyzym to Poland with a pride which was quite justified, because this leper-colony is something to look at even today. The visitor to Fianarantsoa, the provincial capital of Betsileo, usually spends several hours in Marana to see the spacious buildings, and learns with amazement that this work was begun by a Polish missionary.

The letters written by Father Beyzym to Poland are most moving. Cheerful, at times joking, they have a child-like simplicity; they are perhaps a little diffuse, and might not stand up under the magnifying glass of a severe critic, but each page breathes unbounded love, tenderness and an honest simplicity of mind so heart-stirring that the reader becomes ever more bound up in the fate of the lepers and the building of the colony.

With Father Beyzym we live through his joys and cares, his victories and defeats. How moving, for instance, is the story of the Polish trees. Amidst the foreign fauna the missionary longed for his own forests, and asked Poles to send him "birch seedlings, any kind of birch, and also hornbeam seedlings." To his great joy some compassionate person from Wilno sent him various kinds of seedlings. He carefully planted them in a frame, to be replanted in the ground later, and even put a picture of Our Lady of Czestochowa by them, whose help he

always implored in more important cases. But the terrible climate killed the seedlings. The dream of white birches in Madagascar was broken and Father Beyzym had to live without his Polish trees.

At times, despite his work in the most squalid conditions, he would find something interesting nearby. Thus he was concerned to find out how a spider could spin its web across a river. In the next letter, some months later, the problem was solved: it was done with the help of the wind. The missionary also observed a wasp taking spiders to its nest. He lamented the plague of locusts, and rightly did not spare his indignation against the fleas which bit the legs of his lepers.

He regarded the natives as a loving father does his children, with great understanding. But sometimes even his angelic heart was ruffled. "The native of Madagascar is rarely honest," he wrote. "Thievishness is appallingly deep-rooted. . . . They are enormously greedy and covetous."

And actually, in appraising the great sacrifice he made for Madagascar, one must understand the peculiar soul of the natives, who do not know the feeling which we call gratitude. "All ethnologists agree that gratitude does not exist among the Malagasy, and they explain good deeds done to them in a twisted way. It must be supposed that even the lepers did not feel over-much gratitude to Father Beyzym, and thus the heroism of his work and self-sacrifice was all the greater and more outstanding. It is true that the missionary several times mentions the attachment of his charges, but he, having an overflowing heart and a child-like simplicity, looked at them only through his own unbounded goodness, and was blinded by his own feeling. He loved them, but whether they loved him is not so certain.

The letters of the last years read like a growing tragedy. The fine hospital was already built, and thus his most important work was done. But Father Beyzym dreamed of a new endeavour, of still greater sacrifice. He asked his superiors in Poland to send him to Sachalin, where he had heard that people were living in the greatest misery. He commended himself half-jokingly as still being strong enough. "I

shan't twirl my moustache, because I haven't one, but by God's good grace I am still fit. Despite my three-score years I am not yet like a worn-out boot."

But at that time he was already seriously ill. He was bound to become infected with leprosy after such heroic service. The terrible disease had certainly sunk its claws into him for many years, and he could not now wrench it out of his system. Nevertheless, his letters continued most cheerful, and full of confidence and dreams as to further deeds. Did he feel a presentiment of his illness? Probably. Perhaps he believed in some miraculous cure. Perhaps he hoped that the northern cold would check the progress of the leprosy, and for this reason he was so anxious to go to Sachalin.

Even in his last letter, written to Poland the month before his death, he was as happy as a child to think that he would soon see Poland again. This letter shows all his soul, joyful and on fire for the north and his own people.

Some days later he took to his bed from exhaustion, and never rose from it again. He bore bravely, with great calm and balance, the sharp sufferings of approaching death. He died as he had lived, a humble and indomitable knight. Only once—and the pain must have been terrible—did he utter a half-conscious groan. "Everything hurts. . . . I am on the rack. . . ."

On October 2nd, 1912, his heart stopped beating.

His grave is at Marana, on the mountain-side, where one must climb to it by a difficult path beside a steep precipice. From the summit there is a wide and superb view over the populous rice-growing valleys and the leper-hospital.

To the grave come pilgrims of all colours; many still remember the missionary with the coarse-featured face and the tender heart. But almost everyone knows that he had a curious custom: he would hang over the bed of every patient a picture of Our Lady, whom he called the Queen of the Crown of his far homeland in the north, but who had a dark face like the people of Madagascar!